TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

Vol. 3. Nr. 27 (132) Nowy Jork, 8go lipca — New York, 21, N. Y., July 8th, 1945. Cena 20 ct.

DZIŚ W NUMERZE:

PREZYDENT RACZKIEWICZ PRZYBYWA DO LONDYNU W CZERWCU 1940 ROKU JAKO JEDYNY SPRZYMIERZENIEC WALCZĄCEJ ANGLJI.



(Fotografia z "The Sphere" z 29 czerwca, 1940 r.)

"POLAND: The Polish Government which has been functioning at Angers in France with territorial distinctions similar to those of an Embassy, moved to England last week. Here M. Raczkiewicz, Polish President, is seen welcomed by the King."

Król Jerzy VI wita prezydenta Raczkiewicza na lotnisku. (patrz artykuł na stronicy drugiej)

Czem Polska zawiniła?

Fotografja, którą "Tygodnik Polski" zamieszcza dziś na pierwszej stronicy jest dokumentem historycznym bardziej może niż jakiekolwiek słowa uzmysławiającym nietylko potworność, ale poprostu nieprawdopodobieństwo polskiego losu.

Zdjęcie to robione było w czerwcu 1940 roku w momencie, gdy armja francuska została rozbita, gdy Francja poddała się Niemcom i gdy Anglja, nieprzygotowana i właściwie w stosunku do potęgi wojennej niemieckiej bezbronna, znalazła się samotna, po raz pierwszy w swej historji wobec groźby zagłady.

Wtedy to nietylko z wojennego rozgromu, ale i, duchowego upadku, który pochłonął wielką armję francuską poza garstką wierną honorowi i wspomnieniom narodowej chwały, garstką z której urodziła się późniejsza armja De Gaulle'a jedno tylko wojsko, które biło się do ostatka, i tylko stopa po stopie ustępowało z francuskiej ziemi, zdziesiątkowane w boju, ale nieugięte, całe myślące tak samo, bez wahań odmawiające poddania się, to tylko jedno wojsko poszło tam gdzie miała trwać może beznadziejna ale do ostatka walka.

Tym wojskiem była armja polska, tym narodom który jeden jedyny stanął wtenczas przy boku Anglji byli Polacy. Wszystko co zostało wolne z Polski, jej władze suwerenne, jej rząd i armja przybywali na brzeg angielski, stwierdzając tem wiarę w rzeczy niemożliwe, które jedynie mogły uratować Wielką Brytanję a z nią świat cały.

Stara fotografja, którą dziś odbijamy z ówczesnej angielskiej ilustracji jest dowodem jak Anglja zrozumiała to przybycie Polaków. Król Jerzy VI czekał na lotnisku na przybycie samolotu, który przywoził z Bordeaux Prezydenta Raczkiewicza, naówczas jedynego sprzymierzeńca imperjum brytyjskiego, jedynego suwerena, którego armja przybyła do Anglji żeby jej bronić.

Dziś po pięciu latach patrząc na tę fotografję i świadomi tego, że za parę dni Prezydent Raczkiewicz przestanie być uznawany przez Anglików, a armja polska ze wszystkich najbardziej nieugięta, będzie zdana na lepszą czy gorszą obcą łaskę, pytamy się w zdumieniu i w popłochu myśli: "Co się stało przez tych pięć lat, co takiego uczynili Polacy, że z pierwszego sprzymierzeńca, najwierniejszego obrońcy brytyjskiego imperjum, mają się stać niepożądanymi cudzoziemcami, których żadne prawo nie broni, którym ofiarowuje się jak łaskę możność, aby żyli na wygnaniu.

I oto jaka jest na to jedyna odpowiedź, która się nie da żadnym kłamstwem ani żadną potwarzą odmienić.

"Przez pięć lat, które przeszły od chwili, gdy Prezydent Polski witany był w Londynie przez króla Anglji do dzisiaj, kiedy Polska oddana jest po zwycięskiej wojnie w niewolę potwierdzoną przez jej sprzymierzeńców, Polacy bili się bez przerwy, bez wytchnienia, bez namysłu i bez lęku, wszędzie, gdzie tylko szła walka przeciw wspólnym wrogom Anglji i całego świata.

Walczyli, broniąc Londynu, sami jedni przy boku Anglików. Walczyli w Afryce, gdy nie było żadnej rozsądnej nadziei zwycięstwa i trwali na pozycjach, na których żaden inny żołnierz nie zdołał się utrzymać. Walczyli na morzu i pod wodą, budząc podziw najświetniejszych morskich żołnierzy świata. Uwięzieni, na śmierć skazani, gnani na lodowe pustynie, przeszli pół świata, aby sta ćsię znów wojskiem najświetniejszym ze świetnych i znowu bić się i znowu umierać. Najniedostępniejsza forteca Europy, z której obrony Niemcy uczynili legendę swej siły, forteca, od której musieli odstąpić najbardziej nieulękli żołnierze innych krajów, przez to wojsko polskie została zdobyta i przez nie wyrąbana droga do Rzymu

I nie było słów podziwu, których by nie powiedzieli wtedy tym wojskom najwięksi wodzowie Ameryki i Anglji, nie było odznaczeń, któremiby nie uczczono przy hucznych obchodach ich dowódcy.

A kiedy ci, uwalniali Włochy, inne polskie pułki szły przez Francję, Belgję i Holandję, wszędzie, gdzie było najtrudniej, wszędzie w pierwszym szeregu. Breda, Gandawa i stare miasta normandzkie witały ich jako swoich oswobodzicieli, nazywały swe ulice polskiemi imionami i w Paryżu pod Łukiem Tryufalnym uczczony był wódz tej dywizji najmężniejszej wśród mężnych.

Przez pięć lat, odkąd Prezydent Raczkiewicz stanął na ziemi angielskiej, do dziś dnia, w którym może będzie musiał z niej uchodzić, — Polska nie znająca innej władzy tylko właśnie tego Prezydenta i rządów które on powołał walczyła jak żaden inny naród z gnębiącym świat wrogiem nietylko bez nadziei że doraźnie swój los polepszy, ale nawet z pewnością, że wydaje wyrok śmierci na miljony Polaków; wal-

czyła dlatego właśnie, aby dowieść, że Prezydent Raczkiewicz nie jest tylko gościem króla Anglji,ale prawdziwym jego sprzymierzeńcem. Niszczyła mosty, fabryki, koleje, mordowała Niemców, aby trudniej było samolotom niemieckim lecieć na Londyn, wojskom niemieckim walczyć z Anglją.

We wszystkich krajach Europy były wtedy siły walczące z ukrycia, ale w żadnym nie było armji choćby w przybliżeniu podobnej do wielkiego podziemnego polskiego wojska.

I w każdym kraju połowa obywateli przynajmniej tak się urządziła, aby żyć za cenę zgody z wrogiem i w każdym kraju ,który dziś jest wolny i o którym się mówi, że zdobył swą wolność, były rządy zdradzieckie i zdrajcy wyszli z czołowego szeregu tych narodów: Hacha, Laval, Musters, Nedicz. I tylko jedna Polska odrzuciła wszystkie pokusy zdrady, nawet wtedy, kiedy wiedziała, że sama już jest zdradzona.

Wiele miast w Europie na odgłos armat aljanckich na ich przedmieściach porwało się przeciw najeźdźcom, ale jedno tylko powstało naprawdę, całe przeciw Niemcom, zagrzebało się pod gruzami w tej walce i poświęciło w niej trzy razy mniej zaledwie ludzi, niż cała Ameryka straciła żołnierzy w tej wojnie.

I oto na ruinach tego miasta szaleje dziś przemoc, którą zatwierdza podpis zwycięskiego świata i wódz tej armji, któremu od Leonidasa nie było równego bohatera, nie może wrócić do kraju i nie wie, gdzie znajdzie przytułek.

A ludzie, którzy walczyli w tem mieście przez dni sześćdziesiąt, pogrzebali w niem swe rodziny i całe mienie, do dziś dnia znajdują się za drutami obozów, głodni, odcięci od świata, i nie wiedzą nawet, czy nie będą zmuszeni powrócić nazawsze do niewoli.

Oto są winy Polaków, oto co zrobili oni przez tych pięć lat, od chwili, gdy król Anglji witał Prezydenta Polski na lotnisku w Londynie do dzisiaj, kiedy wiadomo już że tem wszystkiem, co zrobili zarobili sobie tylko na straszliwą niewolę i równie straszliwą obojętność świata.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

BALLADA

"Dowidzenia, droga żono", —
mówię, idąc na ochlaje.
(Zmień tę minkę przerażoną,
wiem, że ci się serce kraje).

"Mój kochany, mój jedyny,
idź do łóżka, weź chininy". —
"Miła: ochlaj — ciężka praca,
rzadko z tego się powraca". —

"A czy przyślesz, drogi mężu,
z tej wędrówki podarunek?" —
"Jeśli siebie przezwyciężę,
to ci przyślę pocałunek". —

"Ja chcę ciebie mieć przy sobie,
przecież wiesz, jak ciebie kocham". —
"Moja miła, jesteś w grobie,
ja poczekam jeszcze trochę". —

"Miły, chwilkę się zastanów:
pojedziemy przez Muranów,
na Nalewkach, Nowym Świecie
wyratuję małe dzieci". —

"Twoje dzieci bezimienne,
twoje dzieci beztrumienne,
odgrzebywać ich nie będę,
niechaj rosną mi w legendę". —

"Gdy w legendę ci urosną,
będziesz groby kopał wiosną". —
"Grób wykopię tobie, sobie
i spoczniemy w jednym grobie." —

"Grób wykopać — ciężka praca..." —
"Dobrze, że się nie powraca..."

KSIĄDZ ALFONS SKONIECKI

RZĄD POLSKI Z MOSKWY

Cztery miesiące upłynęły od chwili ogłoszenia w Jałcie wyroku śmierci na Polskę. Dziś w perspektywie czasu i wobec ostatnich wypadków widać jasno, jaką komedję tam odegrano, aby tylko wprowadzić w błąd cały świat.

Uśmiercano państwo polskie, a krzyczano na cały głos, że odradza się niepodległość Polski. A gdy Polska, wszyscy Polacy, Amerykanie polskiego pochodzenia, wogóle ludzie którzy zachowali poczucie sprawiedliwości wołali, że przy pomocy deklaracji w Jałcie zabija się niepodległość Polski, to twórcy Jałty wyjaśniali, że ten krzyk to tylko bóle porodowe demokracji polskiej, która nie gdzieindziej, a właśnie w Jałcie przychodziła na świat. W dwa miesiące później zebrali się w San Francisco delegaci całego świata, którym "wielka trójka" przeznaczyła rolę pogrzebowych sprawy polskiej, chociaż im, jak i opinji świata tłumaczono, że to nie pogrzeb, ale chrzest dziecka, które lada chwila przyjdzie na świat. Mówiono, że będzie to cudowne dziecko, jakiego ani Polacy, ani świat cały jeszcze nie widział. Słowem nowe "natchnienie narodów". Dzieckiem tem będzie nowy "demokratyczny rząd polski".

No i powstał ten nowy rząd, ale jak okazuje się nie jest to wcale polskie dziecko, ale podrzutek, którego ojcem jest Stalin, a matka wstydliwie ukrywa się w Londynie i Washingtonie.

Trzeba było jednak nadać temu nieślubnemu dziecku jakieś imię i jakieś nazwisko. Stalin narazie do ojcowstwa nie chciał się przyznać, ale zapewnia że swego potomka zaadoptuje trochę później. Narazie więc rozkazał swej latorośli nadać imię panieńskie matki. I jak zwyczajnie bywa, lekkomyślna matka musiała się na takie rozwiązanie trudności zgodzić. I nadano nieślubnemu dzieciakowi anglo-amerykańskiej matki, a komunisty Stalina ojca imię matki. Na imię mu — Demokracja. Nazwisko narazie jest tylko tymczasowe — Prowizoryczny rząd polski. "Prowizoryczny" do chwili aż ojciec nowotwora Stalin przyzna się do ojcostwa i zmieni nazwisko na "KOMUNISTYCZNY". Według ostatnich wiadomości prasowych, zmiana nazwy tego cudownego dziecka nastąpi dość szybko. Dlaczego? Bo głową nowotwora jest komunista Bierut.. Prawą ręką? Komunista Osóbka-Morawski. Lewą ręką — komunista Gomółka. Prawą nogę stanowi — komunista "Marshal" Zymirski. Lewą nogę jeszcze dotychczas nie wymieniony komunista. Dwunastu innych komunistów składa się na najważniejsze części ciała tej cudownej dzieciny, a zatem na serce, płuca, żołądek, śledzionę, przyłyk, kiszki i gruczoły.

Polacy — mają inne funkcje. Dla p. Stańczyka np. pozostawiono rolę wyrostka robaczkowego (ślepej kiszki). P. Kiernik ma nadać dziecku kolor oczu i włosów, p. Grabskiemu przypadnie rola wdzięku dziecinnego. Najtragczniejsze rozczarowanie przeżywać musi p. Mikołajczyk. Wydawało mu się, że będzie pełnił rolę jednocześnie oczu, uszu i mózgu tego rządu, a przyznano mu tylko rolę sztucznych zębów, których jak wiadomo noworodek nie używa.

Tak to zbudowane jest to dziecko, owoc grzechu pierworodnego Teheranu i Jałty anglo-amerykańskiej matki. Będzie ono patrzyło na świat oczami swego ojca; pierwszy głos doń dojdzie z Moskwy. Oddychać to dziecię będzie zatrutem powietrzem komunstycznej rewolucji, a chodzić będzie po czerwonych krwią Polaków-patrjotów polach. Do tej krwi przyzwyczai się szybko, zasmakuje w niej i będzie krew polska jego pokarmem. Męka braci stanie się mu rozrywką. I wzrośne to nieprawe dziecię w siły zła, które niszczyć będzie obraz Boga i Krzyża. A siły używać będzie do męki braci swoich. Urośnie ten owoc grzechu, jak chwast szybko i zwróci swój wzrok ku domom matki - jawnogrzesznicy Zachodnich Demokracji i pójdzie z rodzicem swym, by cios śmiertelny wymierzyć swej rodzonej matce. Kto wie, czy w chwili tej groźby sprawiedliwy Bóg wysłucha głosu grzesznej matki i przyjdzie jej z pomocą. Może odwróci się od tych, którzy po popełnieniu grzechu ani skruchy nie wykazali, ani poprawy nie chcieli..

Nowy rząd polski, który powstał w Moskwie rodzi się na grobie kopanym Polsce. Jesteśmy świadkami piekielnej zbrodni, do której świat demokratyczny ręki przyłożyć nie powinien Udział w tej zbrodni to gotowanie nam samym i młodszemu pokoleniu tego samego losu, jaki lekkomyślni dyplomaci i włodarze świata gotują Polsce. W języku naprawdę realnym, rządy demokratyczne dokładają sił, aby skomunizować Polskę.

Jest to zabójstwo nie tylko demokracji w Polsce, ale początek jej końca w całej Europie. Narody Europy, które po strasznych cierpieniach tej wojny, jeszcze nie wyszły z oszołomienia, pozbawione siły nie mają mocy, by się bronić. Błagają o pomoc, przestrzegają więc Amerykę i Anglję przed skutkami ich zgubnej polityki i błędnej dyplomacji, która prowadzi do tego, że w ostatecznym rozrachunku demokracje pozostaną osamotnione, opuszczone przez zawiedzione narody, które wbrew swej woli znajdą się w obozie wrogów. Nawy rząd polski, tak gorąco przez naszą amerykańską prasę reklamowany, jako demokratyczny, jest pierwszym instrumentem dla organizowania Europy przeciw demokracjom zachodu. Pierwszym dlatego, że Polska jest ostatnim szańcem w Europie, który ideowo przeciwstawiał się komunizmowi. Ten szaniec obecnie już jest rozbity.

Czy my, z Polonji, prawdziwi demokraci amerykańscy, ludzie pracy, możemy się zgodzić na to, aby tragiczny błąd naszego rządu uznany został za sukces demokracji? Nigdy. Ani polityki rządu amerykańskiego wobec Polski, ani też komunistycznego rządu polskiego, narzuconego Polsce wbrew woli Narodu Polskiego nie uznamy. Z tem większem przeto zrozumieniem, z tem większą lojalnością będziemy popierali jedyną legalną reprezentację demokratycznej Polski w Londynie, prezydenta Polski Władysława Raczkiewicza, premjera Arciszewskiego, bohaterską Armję polską i tych wszystkich Polaków, którzy walczyli w podziemiach i walczyć będą o prawdziwą wolność w Polsce i o niesfałszowaną, lub kolorowaną komunizmem — Demokrację.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription
Monthly 80 cents
Half yearly $4.80 Yearly $9.60

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"



Z przeszłości Pana Szyka

Rysunek, który podajemy, powstał w roku 1920, miał tytuł "Na szańcach nowej Europy" i wysławiał zwycięstwo Polski nad bolszewizmem. Autorem jego jest Artur Szyk, obecnie jeden z głównych bolszewików polskich, który podpisał wszelkie odezwy, wyrażające radość z panowania Sowietów w Polsce, co nie znaczy wcale aby sam pan Szyk kwapił się z powrotem i nie wołał pędzić burżujskiego życia w bezpiecznej Ameryce. Rysunek który zamieszczamy jest jeszcze jednem wytłómaczeniem dlaczego panu Szykowi nie pilno jechać pod bolszewickie skrzydła. Bo pan Szyk zapomina ile razy już zależnie od konjunktur był żydem-narodowym, wielbicielem sanacji, polskim komunistą. Ale bolszewicy pamiętają.

ALEKSANDER JANTA

GABRJEL

(WALCZĄC O WOLNOŚĆ OJCZYZNY, ZGINĄŁ W BITWIE O LONDYN)

(Dokończenie)

W pamiętnych dniach walk tej dywizji grenadjerów, w klęskowych dniach czarnego czerwca widywałem nieraz Jerzego. Dowodził jako podchorąży plutonem karabinów maszynowych. I jak dowodził! Zasmakował w tej roli i w tej odpowiedzialności, mimo, że czuł, iż nie ma odwrotu od klęski. Ambicją było teraz pokazać także Francuzom, że się Polacy biją, aż do końca. Sam w straży tylnej, pod huraganowym ogniem, pod bombami, ostatni schodził ze stanowiska na rozkaz nowego odwrotu. Kiął tylko na czem świat stoi, pociągał z manierki czerwonego wina, jakby utopić próbując nie nerwy, ale rozczarowanie: Francja, nasza Francja wali się tu na oczach świata i nic nie możemy uczynić aby ten bieg historji odwrócić, odmienić, zatrzymać.

Pocieszał się po swojemu, romantycznie. Zastałem go któregoś dnia na placówce przeciwlotniczej czytającego książkę. To był nieodstępny "Pan Tadeusz", biblja jego tęsknot, wzór poetyckiej doskonałości.

Wkrótce potem straciłem go z oczu. Otoczeni, otrzymalismy rozkaz: ratuj się, kto może. Dopiero po przeszło dwóch latach spotkałem go znowu w Grenoble. Mieszkał w tamtejszym Grand Hotelu, oddanym Polakom na schronisko. Ze względu na ilość intelektualistów, jacy się tam zgrupowali wokoło ks. Jakubisiaka i ambasadora Grzybowskiego (to ten wspólny przyjaciel, S. E. Monsieur de Champigny, którego Gabrjel wspomina w liście do Bernarda) zwano Grand Hotel Mądralinem. W tym Mądralinie pośród aktywności pisarskiej, twórczej i artystycznej Jerzy odnalazł swój żywioł. Publiczność była na poziomie. Sobotnie "Żywe Dzienniki" cieszyły się nebywałą frekwencją ludzi głodnych słowa literackiego, Jerzy recytował, redagował, zbierał, pobudzał, niezależnie od tego wzbogacając swój własny dorobek, pisał pamiętniki z walk I Dywizji i z ucieczki "trzy grube rękopisy mam gotowe"—chwalił się, już i tom wierszy wyszedł w oficynie Tyszkiewicza, już i Brochwiczówna miała cały repertuar jego piosenek — i ile razy je śpiewała, tyle razy kończyło się to na łzach publiczności, co oczywiście łatwo się tłumaczy, ale co gorsza, także na łzach wykonawców. Co gorsza mówię, bo bardzo trudno płakać i śpiewać zarazem.

Ale to wszystko było tylko powierzchnią wydarzeń prawdziwych jego życia. Bowiem Jerzy naprawdę "pracował" w czemś całkiem innem. Nie mówiło się o tem z początku między nami; trzeba było grunt wzajemnie wybadać, spotkać się znowu na nowej płaszczyźnie doświadczeń, odnaleźć wspólny język po tych dwóch latach pełnych rozczarowań, trzeba było przeżyć od nowa w retrospektywie tragedję czerwca, kosztowanego wspólnie. Nie sposób o tem myśleć inaczej, zwierzał się, formułując myśli podobne tym, jakie go nawiedzały po wrześniu, jak tylko biorąc na siebie cząstkę tego ciężaru, który zaważyć musi kiedyś na losach świata. Ty i ja. My wszyscy.

Na pierwszej stronie notesu, w którym notował różne swoje poetyckie projekty, różne swoje prywatne obserwacje i złośliwości, wypisał już w 1941 roku jak motto postępowania, a trochę niczem przekorne wyzwanie losu, zdanie Frejenda z "Dziadów": "taki jak ja Ojczyźnie tylko śmiercią służy".

W liście do Jana Lechonia, komentującym ten wybór pisał cztery lata temu: "Zna mnie Pan tyle lat, że chyba nie posądzi mnie Pan o fałszywą skromność i związaną z tem kokieterję — to jest naprawdę moja opinja, wynikła z głębokiego przekonania, że mam jakieś poważne sęki w mózgu, przeszkadzające mi pisać. Ksiądz (Jakubisiak) nazywa to "demon de l'autodestruction.

Tych parę słów porusza charakterystyczne zagadnienie alternatyw w sumieniu Jerzego, coraz jaskrawszych od czasu wybuchu wojny: być poetą czy też być żołnierzem? Wybór jego jest przyznaniem że słowa nie znaczą już nic, jest wyciągnięciem wniosku z wyznania "tak mnie wszystko drażni i taki jestem bezsilny," jest uznaniem, że tylko ta nowa, skrystalizowana w akcji postawa bojownika gotowego naprawdę zginąć za to w co wierzy, jest godną odpowiedzią na "wszystkie projekty były dygnitarzy co do przyszłego urządzania Dalekiej, na ich kopyto, na wszystkie kompromisy z dawnemi poglądami, na działalność kulturalno - oświatową", na egoizmy, zakłamania, śmieszności i wszystkie inne objawy klęski.

Prysły tęsknoty za słodyczą życia. Nie ma na to miejsca ani czasu dla pokolenia dotkniętego przekleństwem klęski, aż póki jej nie odrobi. Tu się mieści istota odpowiedzialności. Przyznawał zresztą, że pobudką dla niego i wzorem postępowania w tej chwili jest postawa kraju. Oni tam uczą nas na odległość, jak żyć.

W wierszu "Do Przyjaciół Francuzów" formułował gorzki zawód człowieka liczącego na innych: "Paryż, oddany bez strzału" to był symbol rozczarowania. To była w jego poczuciu nieznośna plama na sumieniu Francji. I to była wskazówka, że nie wolno się na nikogo zdać w tej robocie odrabiania klęski, nikim pozwolić się zastąpić, że trzeba losowi wyjść naprzód nie tylko z podniesionym czołem, ale z zakasanymi rękawami. Jako jeden z tych co dziś niosą odpowiedzialność, co rozumieją jej wagę i dlatego nie mogą w żadnym wypadku liczyć na usprawiedliwienie własnej nieobecności w "robocie" tak zasadniczej od której zależy wszystko.

Przyjaźń z Aleksandrem Kawałkowskim, szefem POWN była podstawą tej nowej czynnej orjentacji, tego pozytywizmu w Jerzym, w człowieku skądinąd tak lirycznym przecież. Przemiana z Konradów na Gustawów dokonywała się w tych ludziach bez mistyki, chciałoby się powiedzieć na zimno. Nie omylił się Justyn, przybrawszy sobie Gabrjela jako jednego z najlepszych, najbardziej niezawodnych współpracowników. Inteligencja schroniskowa naogół nie wykazała się ani zrozumieniem swoich obowiązków ani hartem. Nie interesowała się dostatecznie robotą, jaka pozostaje do zrobienia. Tem głębsze było poczucie odpowiedzialności ludzi takich, jak Jerzy. Rosła im w rękach organizacja. Wśród emigracji polskiej, zwłaszcza na północy Franśji rekrutowano wykonawców z których każdy od początku odgrywać musiał role aktywną, niebezpieczną, bojową. Nie było tam miejsca na członków, którym wystarczać potrafił sam pusty fakt "przynależności".

Redagowała się "Walka" — pismo podziemne organizacji z żywym współudziałem Jerzego, który na codzień i na oko niewtajemniczonych zajęty był funkcjam o tyle bardziej poetyckiemi: organizacją Żywych Dzienników, pisaniem wierszy i fraszek, przygotowaniem odczytu o literaturze polskiej, który kończył się cytatem z Mickiewicza:

"...nasz naród jak lawa
z wierzchu twarda i zimna,
sucha i plugawa
lecz wewnętrznego ognia
sto lat nie wyziębi —

plwajmy na tę skorupę
i zstąpmy do głębi".

Czas więc schodził pozornie na dyskutowaniu sztuki pisarskiej i aktualnych dzieł literatury, na uprawianiu tego swoistego escapizmu. Trwanie w tym środowisku było dla niego odpoczynkiem także od innej, prawdziwej egzystencji, od pracy podziemnej, w którą zanurzony już był całą energją, bez reszty i bez odwrotu.

Życie, troski, ambicje Jrzego odchodziły w miarę czasu i roboty coraz bardziej na drugi plan. Kosztował tej nowej egzystencji nerwami, jak narkotyku. Krąg ludzi, któ rym przewodził, których inspirował, których życie było w jego ręku — rozszerzał się. Kochał ich wszystkich po swojemu, nie potrafił tego co robi, robić bez wkładu uczuć przyjacielskich, najserdeczniejszych, oddanych po równi ludziom i sprawie samej.

Od czasu okupacji Francji całej wchodził już w pełną kampanję absorbującą, coraz niebezpieczniejszą. Tworzenie łączności, sabotażowych komórek, propaganda, rozmieszczanie w terenie "babci" — to była ich nazwa na stacje radjowe. łączące z Londynem. Trzeba było w dodatku oszukiwać Niemców na każdym kroku. Zasmakował w tem wodzeniu się z nimi za nos, chociaż nie był z tych, którzy udają, że się nie boją znał cenę jaką trzeba być gotowym zapłacić za te przelotne spazmy szczęścia, jakie daje dowódcom udana akcja, przywiązanie i zaufanie podwładnych, jakie daje świadomość przygotowania konkretnych elementów zwycięstwa, jakie daje budująca się legenda.

W lutym 1944 przeniósł się na północ Francji, objął dowodzenie w tamtejszem Zagłębiu węglowem. Okręg jego nazwano "Mazowsze". Zadania organizacji przygotowane były szczegółowo i gotowe do wykonania, a mimo to praca toczyła się dalej w przewidywaniu bliskiej już inwazji. Ostrzegano, żeby był ostrożny, że już chwila kryzysu bliska. "Gdy się stworzyło tak piękne rzeczy, kiedy się przeszło tak wielkie wzruszenia — śmierć, o której nie mamy czasu myśleć, nie jest wcale straszna" — pisał w przeczuciu jakby, że jej nie uniknie. W tym samym co Jerzy okręgu pracował brat jego, Tadeusz, w organizacji znany pod pseudonimem Lubicz. O nim to pisał Gabrjel cytując powiedzenie łączniczek "Lubicz, nie lubicz — pocałować można".

Tryumfalnym echem odbiła się w organizacji wieść o inwazji. Wreszcie nadchodzi czas wykazania się jej sprawnością; wiadomo przecież, że zadania przygotowane na tyłach armji niemieckiej są dojrzałe do wykonania. Dzień DB, ich dzień akcji tuż, tuż. Aż dech zapiera od niecierpliwości.

W parę dni zaledwie po rozpoczęciu inwazji, jakby w obawie, że nie zdążą użyć zapowiedzianej już dawno tajnej broni, Niemcy rzucili ją na szalę wojny jako jeden z ostatnich atutów. Wystrzelono na Londyn pierwsze bomby latające, V-1. W mgnieniu oka funkcje POWN we Francji przestawione zostały z przygotowanych oddawna sabotażowych i bojowych zadań na zadania zwalczania wyrzutni bomb latających, na wzięcie udziału w drugiej bitwie o Londyn! Toczyła się ona w okręgu zawartym między Douais, Lille, Arras, Amiens, Beauvais, Laon i Valenciennes. Niemcom udało się rozbić podziemną organizację brytyjską jaka pracowała w tym terenie — 53ch agentów brytyjskich nakryli jednym zgrabnym zarzuceniem sieci Na ich miejsce wstąpili do akcji Polacy. Pod dowództwem szefa okręgu "Mazowsze" Gabrjela toczyła się ta zakulisowa bitwa o Londyn, polegająca na przesyłaniu wiadomości o wyrzutniach do Anglji, na cięciu kabli, łączących wyrzutnie, aby utrudnić koncentrację ogniową tj. ostrzeliwanie Londynu salwami, na różnych gatunkach ryzykownego sabotażu. W toku tej ostatniej przed zwycięstwem bitwy, Polacy z organizacji POWN ponieśli najcięższe ofiary nie na ilość licząc, ale na jakość ludzi, którzy w tej bitwie zginęli.

Na punkt na którym znajdowała się podpatrzona przez Niemców "babcia", trafił Gabrjel przypadkiem tuż przed obławą.

W POPRZEDNIM 26 (131) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Rząd moskiewski; Zygmunt Nowakowski: Pielgrzym Doskonały; Władysław Broniewski: Ręka umarłej; Aleksander Janta: Gabrjel; Ludwik Berger: Kompromitacja "Sowietologów"; Roman Fajans:: Wywiad z generałem Borem-Komorowskim; Opinje i Zdarzenia.

Został wzięty: Walcząc o wolność Polski,, zginął w bitwie o Londyn na ziemiach Francji. Łudziliśmy się wszyscy, że cud się stanie, że wyżyje, że wróci, że się go doczekamy i że on nas się doczeka, ludzi minionych wspomnień, ludzi okresu "słodyczy życia", do których tęsknił, jakby sami byli spełnieniem jego snów.

Przybici niepokojem o los Jerzego towarzysze jego pracy, przełożeni i podwładni wspominali go, kiedy byłem we Francji jesienią, jak najświatlejszą postać w organizacji.

Jak nikt inny potrafił wyłuskać i precyzować czar tej roboty, zarażać jej niebezpiecznym urokiem innych, wiązywać ich do sprawy i do siebie. Tym, którzy go poznali niepodobna było wyobrazić sobie organizacji bez Gabrjela.

A przecież zasługiwał on właśnie na odpoczynek, na jakieś życiowe zadośćuczynienie za ten "heroiczny okres", z którego pierwszy by się śmiał dziś wspominając. Ale, którego powagę i sens dobrze rozumiał.

Rehabilitował swoje pokolenie wobec Polaków samych i wobec świata, wobec Paryża i Londynu, którego bronił, ale na dnie tego poczucia kości, ciążącej na jego życiu, niczem fatum greckiego dramatu, znajdowała się wiara w potrzebę takiej postawy, wiara, że tak żyć i działać warto, że to jest właśnie najlepsze, ba, jedynie praktyczne wypełnienie ludzkich i narodowych przeznaczeń. I w tem właśnie pozostał romantykiem. Los sprawił, że ten Kawaler Croix de Guerre i Virtuti Militari, że szef okręgu "Mazowsze" Gabrjel nie doświadcza dzisiaj okrucieństwa większego, niżeli ta wojna, w której dopiął szczytów bohaterstwa, przezwyciężając lęk, słabość, lenistwo, przezwyciężając siebie. Że nie doświadcza deptania ideałów, jakie mu były drogie do tego stopnia, że z wiarą w ich zwycięstwo godził się nawet na przyjęcie wyroku śmierci.

Podeptanie prawa do głosu, prawa do sądu i do zwycięstwa takich jak on, wyparcie się ich poświęceń i tej ofiary życia złożonej w imię wolności nietylko własnej ojczyzny jest klęską już nie człowieka ani narodu nawet, jest dzisiaj klęską całej walczącej o wolność ludzkości. Niby ...wa brzemieć musi stwierdzenie, że śmierć męczeńska w niemieckim obozie oszczędziła takim jak on ludziom, cynicznego widowiska klęski mimo zwycięstwa, klęski ideałów dla których walczył i za które życie oddał napróżno pośród setek tysięcy Polaków, wierzących tak samo jak on, podchorąży poeta, nasz przyjaciel — Jerzy Paczkowski.

RYSZARD WRAGA

WSPOMNIENIA KRWIĄ PISANE

"Ojczyzna, która zewsząd idzie
Drogą fabryczną, drogą rolną
I śmierć tu mała, wielkie życie
I ponad każde niebo wolność."

(Piwowar — poeta ze Starobielska)

1.

Major Józef Czapski, malarz znakomity, pisarz i żołnierz, uczestnik kampanji wrześniowej, a później więzień jednego z najbardziej krwawymi zgłoskami zapisanych obozów jeńców polskich w Rosji sowieckiej, napisał swe wspomnienia.* Książeczka doczekała się w krótkim czasie 2-go wydania, jest już w przekładzie francuskim, a obecnie przygotowuje się przekład angielski. Opisuje ona dzieje, a właściwie jedyną w swoim rodzaju epopeję "zaginionych" 3 obozów wojskowych: Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa, tragedję uwięzienia żołnierzy walczących z hitleryzmem na terenie panstwa, które mieni się "socjalistycznym", okropieństwa samych obozów i całą beznadziejność poszukiwania zaginionych, wobec zagadkowej postawy władz sowieckich.

Książeczkę tę od kilku miesięcy mam przed sobą. Od kilku miesięcy spoglądam na nią codziennie z wdzięcznością dla autora za miły autograf i codziennie myślę, że trzeba tej pracy piświęcić jakiś wyjątkowy, zupełnie inny artykuł — recenzję.

Ne znam osobiście autora. Pozostały mi natomiast w pamięci jego obrazy, pełne czerwieni, nie tajonej radości życia i dziwnej a nieokreślonej wiary. Powiedziałbym wiary w widza, ktory te obrazy ogląda.

W malarstwie Czapskiego czuło się człowieka bliskiego sobie. W "Lekarzu na rozdrożu" Bernarda Shaw umierający malarz przed śmiercią czyni swe wyznanie wiary, wiary w nieśmiertelność sztuki na nieśmiertelności ducha ludzkiego opartej. Ilekroć widziałem prace Czapskiego myślałem sobie, że on też, jak tamten malarz, musi wierzyć w nieśmiertelność ducha. A więc musi głęboko wierzyć w człowieka. Nie w tego człowieka, pisanego przez duże "c", nie w "ubermenscha", nie w człowieka-ideał, dla tryumfu" którego ma gnić w przemocy kolektywu normalny szary człowiek, lecz właśnie w tego szarego, codziennego człowieka z ulicy, suteryn, lasu i fabryki. Takim romantykiem, jak to się u nas brzydko mówi, takim człowiekiem idealistą sztuki i swego bliźniego — szareg człowieka, był dla mnie Czapski. Myślałem też sobie, rozcinając pierwsze strony estetycznie wydanej, jak na polowe warunki, błękitnej jego książeczki, czy też ten obraz Czapskiego utrzyma się w mojej wyobraźni po jej przeczytaniu.

2.

Książka Czapskiego pozostanie nazawsze w mojej pamięci jako wspaniały dokument olbrzymiej siły i wartości ducha ludzkiego.

Jest przedziwna plastyka — iście malarska — w opisach Czapskiego. Plastyka ta nabiera specjalnie jaskrawych, powiedziałbym purpurowych kolorów, gdy chodzi o piękno związane z istotą człowieka. Czapski musi być — wiem to napewno — człowiekiem głęboko religijnym. Nie chodzi mi tu, rzecz prosta, ani o jego wyznanie, ani o stronę obrzędową. Czapski ma swego Boga, który mu dzieli, i to dzieli bezapelacyjnie, wszystkie zjawiska na dobre i złe, na pękne i szpetne. Widzi dobro i piękno, przemilcza zło i szpetotę, a gdy musi o nich pisać, jest zawstydzony i szuka wytłumaczenia. Nosi w sobie ogrom wybaczenia. Musi być też człowiekiem doskonale szczęśliwym.

Odzwyczajeni jesteśmy przez czasy i ludzi od tej religijności. Nie widzimy, a raczej nie rozumiemy jej potrzeby, i tylko czasami, gdy uważnie zastanowimy się nad katastrofalnemi skutkami areligijności współczesnych idei i myśli, tęsknimy do Boga, jako źródła siły i mocy wewnętrznej. Czyż to nie areligijność marksizmu, jego jałowość duchowa przy olbrzymiej treści rozumowej, doprowadziła, że ten jedyny naród, który rządzi się dzisiaj marksowską dokryną, musiał naprędce poszukać sobie Boga, a nie znalazłszy go, odrestaurował pośpiesznie odwiecznych bogów rosyjskich — carów Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego. Surowe, okrutne twrze Iwana i Piotra, Suworowa i Skobelewa spoglądają na dwieście miljonów ludzkości zpoza wybladłych konterfektów genialnych, lecz nie wierzących doktrynerów, i grożą pozostałemu światu bezwzględnością Czingiz-hanów i Tamerlanów. Czyż nie zagubienie religji przez naród, kóry zdumiewał w ciagu wieków głębią swej reformacji i filozofji, dało ludzkości potworność hitleryzmu. Czyż nie zapomnienie o religji, jako jedynej trwałej i konstruktywnej więzi społecznej, wyjałowiło współczesną demokrację i socjalizm, doprowadziło do atomizacji ludzkości, do przerostów indywidualizmu, do zgnicia najwspanialszych podstaw kultury. Czyż to nie ten brak religji i wiary powoduje, że straszno jest nam dzisiaj na świecie, że mętny wydaje się dzień jutrzejszy.

Czapski nosi swego Boga w sobie. Oto jedna tylko scena z jego opisu:

"Pierwsza noc poza granicami Polski. Wojsko polskie to był w tej oborze tłum stłoczony, Ogłuszony przez nieszczęście, zmiażdżony psychicznie. Było zupełnie ciemno, gdy się zamykało wszystkie drzwi, robił się niemożliwy zaduch, nieznośny dla tych, którzy siedzieli w głębi obory; jak tylko próbowano drzwi otworzyć, chłód stawał się zbyt dtkliwy dla skupionych bliżej wyjścia. Stąd brutalne, gwałtowne użeranie się w ciemności, "Zamykać drzwi", "od smrodu jeszcze nikt nie umarł", otwierać drzwi", "nie ma czym oddychać", "chamy, widocznie się w chlewie narodzili".

Słuchaliśmy w ciemności tych wyzwisk i użerania się, upokorzeni do dna i nagle ktoś zanucił:

"Pod Twą obronę, Ojcze
na niebie,
Grono Twych dzieci swój
powierza los,
Ty im błogosław, ratuj
w potrzebie,
i broń od złego, gdy
zagraża cios!"

I nagle cała obora zaczęła śpiewać tę pieśń, jak jeden człowiek. W śpiewie był taki zryw dziecinny, pełen wiary i łez, taki błagalny krzyk w ostatnim zdaniu "Bóg jest nam tarczą, Boże Ojcze nasz", i taka odruchowa jedność wszystkich, że wyczuwało się prawie fizycznie nagłe przeobrażenie wewnętrzne, które się w każdym w tej cuchnącej oborze dokonywało, po przez starą, polską pieśń religijną. Ileż razy słyszałem ją potem, śpiewaną w Rosji, w obozach, w wojsku, w Iranie, czy w Iraku. Budziła we mnie zawsze jakby wczorajsze wspomnienie innego wymiaru, wspomnienie pieśni w oborze w Wołoczyskach."

*Por. Józef Czapski — "Wspomnienia Starobielskie", Bibljoteka "Orła Białego" nakładem Oddziału Kultury i Prasy II Korpusu, 1944 r.

W tym obrazie jest wielka prawda, przedziwnie prosta, a przeto i niezmiernie piękna. Tylko głęboko, — prawdziwie wierzący człowiek może przekazać czytelnikowi z równą Czapskiemu ekspresją taki obraz zbiorowej modlitwy, lub też dać tak niezmiernie plastyczny opis pierwszej wigilji spędzonej w obozie i przekazać wzruszenie, które i nas ogarnia, gdy wyobrażamy sobie por. Radońskiego deklamującego wiersz z "Wyzwolenia".

Opisy Czapskiego są krótkie, pozbawione niepotrzebnego gadulstwa, oszczędne w słowach, lecz jakże mimo to wyraziste. Widzi się ten barak "przeważnie w półmroku oświetlonym przez rzadkie, fatalnie świecące lampki elektryczne, które coraz się psuły". Tylko znakomity reżyser filmowy zdołałby oddać ekspresję takiego obrazu: "patrzyli na nas milcząc, jakby nie widzącymi oczami, starzy, wychudli, smutni chłopi z długimi, jak za Borysa Godunowa brodami, małe dzieci, idące ze szkół, obelżywie wyzywały za nami "polskim panami" i "krwiopijcami".

Czapski każdego człowieka, o którym pisze, traktuje z miłością ewangeliczną. Nie szuka ani określeń, ani nie wdaje się w zbyt obszerne charakterystyki. Pisze poprostu — niekiedy słów kilka a oto pozostaje nam w pamięci, kto wie czy nie nazawsze, jeszcze przed chwilą nieznana postać prof. Ralskiego, dr. Kempnera, ppor. Szeffera — "entuzjasty Gdyni, w której w ostatnich latach pracował, w najgorsze dni września planował, jak Gdynię na nowo odbudujemy i optymizmu nie tracił", mjr. Adama Sołtana — "człowieka o cechach wodza", rtm. Kuczyńskiego i por. Ewerta — jednego z profesorów tajnego, barakowego uniwersytetu, wykłady którego były "przesiąknięte gorącym optymizmem". Każdy z nich żyje w tych wspomnieniach starobielskich i staje się tak bliski czytelnikowi, że rozpacz ogarnia, że niema ich już, i że nigdy już nie będzie. Tragedja trzech zaginionych obozów nabiera w tych charakterystykach wyrazu tak strasznego, jaki może wytworzyć w duszy ludzkiej tylko dramat Sofoklesa czy Szekspira. A przecież ani słowa w tych opisach patosu, liryki.

Z ludzi opisywanych przez Czapskiego znałem wielu. I takim właśnie, jak opisuje ich Czapski, pamiętam por. Skwarczyńskiego, dra Dadeja. Ks. Aleksandrowicza, ppor. Piwowara — "entuzjastę poezji i czerwonego Polaka". Znałem również prof Radońskiego, o którym Czapski pisze, jak to wyjeżdżając z obozu "zaczął prosić serdecznie, zaklinac, by dbano o język, nie zaśmiecano go, nie lekceważono." A było to jego ostatnie pożegnanie przed odejściem nazawsze. Pamiętam Kłopotowskiego, który śmiertelnie chory na suchoty za czynał niezmiennie codziennie mówić o synu," a kiedy zaczynał mówić, już go nie można było zatrzymać. — Mój syn, proszę Pana, to ma oczy jak drogocenne kamienie".

3

Książka Czapskiego jest opisem jednej z największych tragedji, jaka kiedykolwiek dotknęła nasz naród. Przeczytałam uważnie przed chwilą napisane zdanie i myślę, że nie ma w nim przesady. Tragedja ta jest to zniknięcie ze świata przeszło ośmiu



JÓZEF CZAPSKI

Widzimy wyraźnie, jak w staromodnym stereoskopie, ten pierwszy przeżyty nanowo przez Czapskiego pejzaż, i czujemy całą upiorność "wielkich drzew o jasnoniebieskich, jaśniejszych niż niebo pniach, okrytych, nanizanych tysiącam czarnych kawek i wron".

tysięcy ludzi, wśród których olbrzymi odsetek stanowili znakomici uczeni, światowej sławy lekarze, doskonali fachowcy, świetni inteligenci w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Olbrzymia większość z nich wzięła udział w spontanicznym wysiłku całego narodu powstrzymania pier-

Rzołnierze Armii Polskiej!

Pańsko-burżuazjny Rząd Polski, wciągnowszy Was w awanturystyczną wojnę, pozornie przewaliło się. Ono okazało się bezsilnym rządzić krajem i zorganizować obronu. Ministrzy i gienerałowie, schwycili nagrabione imi złoto, tchórzliwie uciekli, pozostawiają armię i cały lud Polski na wolę losu.

Armia Polska pocierpieła surową porażkę, od którego ona nie oprawić wstanie się. Wam, waszym żonom, dzieciam, braciam i siostram ugraża głodna śmierć i zniszczenie.

W te ciężkie dni dla Was potężny Związek Radziecki wyciąga Wam ręce braterskiej. pomocy. Nie przeciwcie się Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Wasze przeciewenie bez kożyści i przerzeczono na całą zgubę. My idziemy do Was nie jako zdobywcy, a jako wasi braci po klasu, jako wasi wyzwoleńcy od ucisku obszarników i kapitalistów.

Wielka i niezwolczona Armia Czerwona niesię na swoich sztandarach procującym, braterstwo i szczęśliwe życie.

Rzołnierze Armii Polskiej! Nie proliwacie doremnie krwi za cudze Wam interesy obszarników i kapitalistów.

Was przymuszają uciskać białorusinów, ukraińców. Rządzące kole Polskie sieją narodową rużność między polakami, białorusinami i ukraińcami.

Pamiętajcie! Nie może być swobodny naród, uciskające drugie narody. Pracujące białorusini i ukraińcy—Wasi procujące, a nie wrogi. Razem z nimi budujcie szczęśliwe dorobkowe życie.

Rzucajcie broń! Przechodźcie na stronę Armii Czerwonej. Wam zabezpieczona swoboda i szczęśliwe życie.

Naczelny Dowódca Białoruskiego frontu
Komandarm Drugiej Rangi Michał KOWALOW.

17 września 1939 roku.

ODEZWA BOLSZEWICKA DO POLAKÓW

wszego otwartego i już niczem nie hamowanego ataku zbrojnego hitleryzmu. Olbrzymia większość z nich byli to ludzie pracy, byli to ludzie pochodzący z dołów, z mas pracujących, którzy własną swą pracą i wysiłkiem całego życia osiągnęli to, że nazwiska ich pozostaną w pamięci nietylko tych, którzy przeczytają książkę Czapskiego, ale przedewszystkiem tych, których pozostawili jako swoich uczniów, współpracowników, podwładnych, przełożonych.

Tragedja obozów w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie jest tragedją nie mającą sobie równych dlatego, że zginęli ludzie, którzy w większości swej wierzyli, podobnie jak Czapski, w wartość pracy własnej i cudzej, odróżniali dobre od złego, wierzyli w człowieka, a mimo to spotkało ich zniszczenie i zagłada ze strony tej, która się mieni rzecznikiem sprawiedliwości ogólno-ludzkiej, rzecznikiem demokracji i socjalizmu, czyli największego poszanowania człowieka i jego praw. Nie jest tak straszną tragedja Majdanków, Treblinek innych obozów, gdzie ludzie ginęli niszczeni przez siłę, od której w założeniu samem nie można oczekiwać niczego, poza takim właśnie stosunkiem do ducha i materii ludzkiej. — Mniej są tragedją pogromy bitewne przy użyciu najstraszniejszych nawet środków, gdyż jest w tym zniszczeniu jaki sens walki, jakaś możliwość, minimalna bodaj, bodaj ułudna, obrony.

Polityka dni dzisiejszych nie pozwala nam postawić kropki nad "i". Polityka dni dzisiejszych wymaga dowodów, a jednocześnie robi wszystko, by tych dowodów nie było. Polityka dni dzisiejszych usiłowała i nadal usiłuje przerzucić odpowiedzialność za tę tragedję na tamtą, drugą siłę bezwzględną i brutalną, po której ostatnio można spodziewać się wszystkiego. I gdyby to robiła nie ta polityka, tak wyraźnie cyniczna, i tak wyraźnie oportunistyczna, powiedzielibyśmy, że jest w tym przerzucaniu odpowiedzialności na tamtą bezwzględną siłę brutalną jakiś głęboki sens moralny, chęć oczyszczenia rewolucji i socjalizmu od podejrzenia o okropną zbrodnię. Ale my nie mamy i nie możemy mieć zaufania do moralnych celów polityki.

Nie potrzebujemy zresztą stawiania kropki nad "i". Wystarcza nam zupełnie fakt, że oto w dwudziestym którymś tam roku rewolucji, gdy na świat wyrzucono wielomiljonowe nakłady Marksa i Engelsa i ich uczniów, gdy słowa "socjalizm" i "komunizm" doprowadzono do jarmarcznej popularności, gdy zasypano ludzkość hasłami demokracji, gdy ludzkość ta rozpoczęła z poświęceniem ze świadomością wszystkich skutków walkę z reakcyjnym fszyzmem, w samym środku Europy, w pobliżu Mekki, która uzurpowała sobie prawo do monopolu na socjalizm i komunizm, profesorowie, uczeni, lekarze, botanicy, prawnicy, i mnóstwo innych demokratów, socjalistów, nawet komunistów stłoczono jak bydło w oborach, spędzono w baraki, pozbawiono praw do nazwy człowieka, traktowno tygodniami, miesiącami, jak najgorszego gatunku ścierwo. To zupełnie wystarczy. Śmierć fizyczna była bodaj najszczęśliwszym rozwiązaniem dla ogromnej większości tych ludzi. — Czemże była dola innych. Czemże byłaby nadal dola dziesiątek i setek tysięcy podobnych im, gdyby nie konjunktura, gdyby nie polityka, gdyby nie zrządzenie losu, które zapewniło znikomej części wolność.

Książka Czapskiego jest dokumentem równie wielkiej wagi, jak protokół otwarcia mogił katyńskich, Jest dowodem zbrodni popełnianej w dwudziestym wieku na ludziach, którzy niczem na tego rodzaju zagładę nie zasłużyli.

Rewolucja rosyjska z punktu dokonywana była wbrew wszelkim zasadom etyki i moralności ogólno-ludz-

kiej. Nie miała ona na celu dokonania równego sprawiedliwego podziału dóbr, wyzwolenia z ucisku i ukarania winnych. Miał ona na celu i dokonała coś niezmiernie brutalnego i cynicznego w samej swej istocie: — przewartościowania wartości. W myśl tego założenia popędzono w 1917-18 r. na ulice do prac fizycznych profesorów i uczonych, zgrzybiałych starców i małe dzieci, mordowano kobiety wszystkich stanów i wszystkich klas. W rosyjskiej rewolucji nie było poszukiwania prawdy i nie było prawdy. Znakomity pisarz rosyjski Michał Osorgin pisał kiedyś, że w Rosji są tylko dwie prawdy: "podlinnaja" — czyli wydobywana z delikwentów pod uderzeniami lin, batów i knutów, i "podnogotnaja",— którą torturowany zeznawał gdy wbijano mu drzazgi pod paznogcie. Innej prawdy Rosja nie znała i nie zna.

I nadaremno Czapski poszukiwał prawdy zaginionyh obozów, objeżdzając Rosję wzdłuż i wszerz, szukając tej prawdy w gabinetach ubrylantowanych i wyorderowanych dygnitarzy, czy wśród prostych szarych i wymęczonych ludzi rosyjskich. — Czterdzieści lat temu znakomity pisarz polski Wilhelm Feldman objechał Rosję poszukując prawdy rewolucyjnej i napisał: "Nie wolno zapominać o jednym czynniku, który zawsze trzeba brać w rachubę, gdy chodzi o władze rosyjskie:: o ich głupocie, jak cień towarzyszącej zawsze ich nikczemności".

Władze rosyjskie nie znają i nie chcą znać prawdy zaginionych obozow polskich. Mamy przed sobą dwa dokumenty .Są to odezwy obu dowódców okręgów wojennych sowieckich, którzy we wrześniu 1939 r. wyruszyli na podbój Rzeczypospolitej, by obronić, jak mówiono, ludność ziem wschodnich Polski od grożącego im niebezpieczeństwa. To w rezultacie tej właśnie obrony znaleźli się polscy socjaliści, polscy komunici, żydowscy socjaliści i ukraińscy komuniści, białoruscy demokraci w obozach sowieckich od Szepetówki i Kozielska począwszy, a na Kamczatce kończąc To w rezultacie tej obrony książki Czapskiego zapoczątkowała cykl dokumentów martyrologjii narodów Rzeczypospolitej, które długie jeszcze lata będą ukazywały się na świecie znacząc .osiągnięcia nowych Herostratesów.

Jeden z tych dokumentów brzmi następująco::

> "**Żołnierze!** W ciągu ostatnich dni armia polska zstała ostatecznie rozgromiona. Żołnierze miast: **Tarnopol, Galicz, Równo, Dubno,** w ilości przeszło 60,000 osób dobrowolne przeszli na naszą stronę.
>
> **Żołnierze!** Co pozostało wam? O co i z kim walczycie? Dla czego narażacie życie?
>
> Opór wasz jest bezskuteczny. Oficerowie pędzą was na bezsensowną rzeź. Oni nienawidzą was i wasze rodziny. To oni rozstrzelali waszych delegatów, których posłaliście z propozycją o poddanie się, nie wierzcie swym oficerom. Oficerowie i generałowie są waszymi wrogami, chcą oni Waszej śmierci.
>
> **Żołnierze! Bijcie oficerów i generałów.** Nie podporządkowujcie się rozkazom waszych oficerów. Pędźcie z waszej ziemi. Przechodźcie śmiało do nas, do waszych braci, do Armii Czerwonej. Tu znajdziecie uwagę i troskliwość. Pamiętajcie, że tylko czerwona armja wyzwoli naród polski z nieszczęsnej wojny i uzyskacie możność rozpocząć pokojowe życie.
>
> **Wierzcie nam! Armja Czerwona Związku Radzieckiego to wasz jedyny przyjaciel.**
>
> **Dowódca frontu Ukraińskiego**
> **S. Timoszenko.**

Drugi dokument napisany jest tak swoistym stylem i tak oryginalną pisownią, że wolę go podać w odbitce fotograficznej.

Czyż oba te dokumenty nie stanowią same przez się potwornego oskarżenia, wyjaśniającego między innemi również i tajemnicę zaginionych obozów.



GENERAŁ JULJUSZ ROMMEL,
uwolniony z obozu jeńców przemawia do żołnierzy

TADEUSZ MITANA

OSTATNIE DZIEŁO PROF. NOYES'A

Wydany niedawno przez Polski Instytut Naukowy imponujący tom przekładów z Mickiewicza przez profesora Noyesa i jego entuzjastycznych i utalentowanych współpracowników, uważam osobiście za wydarzenie w dziedzinie związków duchowych Ameryki i Polski tak doniosłe, że krótkie swe uwagi zamierzam poświęcić nie tyle problemom techniki przekładowej, ile znaczeniu przekładów wogóle, a świetnej książki prof. Noyesa w szczególności.

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że w świadomości przeciętnie inteligentnego człowieka praca tłumacza obdarta jest z aspektów glorji i uznania. Tylko nieliczna garstka ludzi — wśród nich, na szczęście, wielu najwybitniejszych poetów — w pełni docenia tkwiący u dna inteligentnej pracy tłumaczeniowej element współtwórczości artystycznej i solidnej pracy myślowej. Mam wrażenie, że u dna tej powszechnej, a jakże niesłusznej i krzywdzącej opinji o rzekomo pośledniej roli tłumacza, tkwią pewne jednostronne założenia teoretyczne, dotyczące psychologji twórczości. Rozpowszechniony jest mianowicie pogląd, że wielka twórczość poetycka jest tak wyłącznie sprawą sukjektywnych przeżyć poety, że żaden przekład nie może być wystarczającym ekwiwalentem zarówno wspomnianych doznań duchowych poety, jak też tego ogólniejszego, a równie nieuchwytnego podłoża społeczno-etnicznego, z którym te subjektywne doświadczenia poety są tak organicznie związane.

Zdaje mi się, że stanowisko to jest tylko częściowo słuszne. Zawiera ono w sobie jedynie fragmenty prawdy, głównie dlatego, że nawet najbardziej sukjektywne przeżycia twórcy, choćby rozpalone w najwyższej temperaturze uczucia i przesycone najbogatszą wyobraźnią, zawsze przecież wyrażają równocześnie określoną treść pojęciową czy ideową, pewną konkretną koncepcję świata, życia i człowieka. Właśnie ta żywa treść myślowa i wzruszeniowa stanowi, mimo wszelkie barjery językowe i mimo wszelkie różnice środowiska kulturalno-obyczajowego, wspólną własność ludzkości, w każdym razie wspólną własność pewnego typu dziejowego kultury. Jeżeli tak, to świat pojęciowy każdej wielkiej poezji, jej wzniosłość, głębia i symbolika, da się niewątpliwe odtworzyć w całości drogą przekładów. Co może z równą wiernością odtworzyć się nie da, to bodaj wspomniany już element subjektywności doznań psychicznych poety oraz towarzyszący mu swoisty żywioł muzyki danego języka. Na szczęście, margines straty nie jest tu zbyt ważny, choćby dlatego, że po pierwsze, czynnik muzyczny nie jest dla wielkiej poezji najistotniejszy, a podrugie dlatego, że drogą inteligentnego naśladownictwa da on się częściowo ocalić lub zastąpć. Tak czy owak, czytelnik czytający w przekładzie takich poetów jak Homer, Dante, Szekspir, Milton, Goethe czy Mickiewicz, choćby zamknięte były przed nim skarby wewnętrznych harmonji muzycznych czy uczuciowych oryginału, z pewnością jednak wzbogaca własną kulturę duchową i znacznie pogłębia w sobie zmysł ludzkiego współczucia.



Profesor George Rapall Noyes, znakomity tłumacz Mickiewicza i najwybitniejszy amerykański znawca literatury polskiej, odznaczony został właśnie za swe prace komandorją orderu "Polonia Restituta"

Dlatego w nowym powojennym świecie stosunków ludzkich i międzynarodowych rola tłumacza nabiera wyjątkowej wagi i znaczenia. Praca jego bowiem nie jest jakąś mechaniczną transmisją dzieła sztuki, ale jest zasadniczo twórczym aktem interpretacji i współpracy.

Właśnie z tego punktu widzenia, dzieło prof. Noyesa i jego współpracowników, korona jego dugoletniej, bo zgórą ćwierć wieku obejmującej znakomitej działalności naukowej na polu polonistyki w Ameryce, jest rzeczywiście wydarzeniem wyjątkowem. Przeznaczone jest przecież nie dla Polaków, lecz dla tego potężnego świata kultury, którego językiem jest język angielski. Świat ten, jak przekonaliśmy się o tem gorzko, Polski właściwie nie zna. Nie zna nietylko naszych dziejów politycznych, ale, co bodaj smutniejsze, nie zna Polski w jej kształcie obyczajowym, społecznym i etycznym, nie zna jej zwłaszcza w jej odrębnościach temperamentu, myśli i uczucia, jak nie zna jej również w związkach i pokrewieństwach kulturalnych, ideowych i filozoficznych z Zachodem.

Wszystkie te najbardziej charakterystyczne znamiona polskiej indywidualności narodowej zamknęła w sobie klasyczną prostotą wyrazu właśnie wielka twórczość Mickiewicza. On nadał jej najpełniejszy kształt poetyckiego piękna. I dlatego on, Mickiewicz, w znacznie wyższym stopniu niż jakakolwiek inna twórcza indywidualność polska w dziedzinie sztuki czy nauki, jest magicznym kluczem otwierającym Polskę światu, który jej nie zna. Kto w świat ten, zwłaszcza w świat angloamerykański, wprowadza Mickiewicza, ten wprowadza weń całą Polskę, a zwłaszcza to, co pod nalotem rzeczy drobnych, i przemijających, jest w niej sferą wartości niezniszczalnych. Wyświadcza ponadto Polsce, zwłaszcza dzisiaj, przysługę tak wiel-

ką, że trudno dla niej znaleźć słów wdzięczności...

Takim właśnie dobroczyńcą naszym jest skromny, wytworny, siwy pan z Kalifornji, esteta i badacz naukowy pierwszej klasy, myśliciel-humanista, człowiek o rozumiejącem sercu, niezrównany znawca Polski, wykwintny wielbiciel Kochanowskiego i Mickiewcza — Profesor George Rapall Noyes.

Wspaniały tom przekładów mickiewiczowskich w jego opracowaniu obejmuje, na przestrzeni blisko 500 stronic, wszystko co jest najcenniejsze i najistotniejsze w twórczości Mickiewicza. Wprawdzie wydanie to ne zawiera Pana Tadeusza, ale osobny przekład teg nieśmiertelnego eposu, dokonany prozą przez prof. Noyesa, ukazał się już dawno i włączony został w serję wielkich utworów świata w Everyman's Library. Niektóre z tych utworów, oraz inne, nie objęte w omawianym zbiorze, przełożone były, też pod kierownictwem i przy czynnej współpracy prof. Noyesa, już wcześniej, i wydane przy inyych okazjach. W formie obecnej tom ten jest najpełniejszem wydaniem w języku angielskim przekładów z Mickiewicza.

Najpełniejszem i — rzecz zasadnicza — najgruntowniejszem. Czytelnika polskiego uderza przedewszystkiem fenomenalna wprost znajomość źródeł. Prof. Noyes przestudjował najskrupulatnicj wszystkie biografje Mickiewicza, wszystkie wydania zbiorowe jego pism, wszystkie dostępne studja monograficzne w różnych językach ,i bodaj wszystkie artykuły i prace o Mickiewiczu. Zna Mickiewicza na wylot. Jego wstęp krytyczny na 60 stronicach jest wzorem wnikliwości krytycznej, umiaru, samodzielności i niepodległości sądu. Skromnie ukryty aparat naukowy uderza sumiennością, precyzją i pietystyczną ścisłością. Najdrobniejszy odprysk zagadnień mickiewiczowskich znajduje tu, w jakimś magicznym skrócie i czystości przekroju, swój wyraz i swoje echo.

To jeszcze nie wszystko. Poza tą niezwykle gruntowną znajomością Mickiewicza i olbrzymiej literatury mickiewiczowskiej, tła historycznego, związków ideowych i estetycznych twórczości Mickiewicza z prądami literackiemi Zachodu, praca profesora Noyesa wykazuje jeszcze inny, niezwykle cenny element, a mianowicie uroku pełną intymność odczucia i zrozumienia psychologji życia polskiego wogóle. Zdobył ją już chyba nie tyle drogą badań historycznych i teoretycznych, ile niewątpliwie drogą osobistego skąpania się w polszczyźnie za lat młodości w czasie swych studjów polonistycznych na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Jestem skłonny przypuszczać, że bez tego kapitału bezpośrednich obserwacji, przeżyć i wspomnień polskich, bez osobistych kontaktów uczuciowych z Polską, tom przekładów mickiewiczowskich prof. Noyesa nie posiadałby w sobie tego utajonego ciepła i światła, które stanowią tak znamienną i tak ujmującą jego właściwość.

W uroku tej słonecznej poświaty i ludzkiej życzliwości łagodnieją nawet kontury surowych sądów, tu i ówdzie wypowiadanych przez czcigodnego badacza. Choć podziwu swego nie ukrywa, choć z gębokim szacunkiem mówi o wartościach piękna czy etyczno-religijnego żywiołu III. Cz. Dziadów lub Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa, choć z zachwytem wspomina o epickiej pogodzie i wzniosłości "Pana Tadeusza", — nie waha się wypowiedzieć swych krytycznych uwag o tych właściwościach charakteru poety, które w jego oczach nie znajdują uznania. Tak np. zachowanie się Mickiewicza w Rosji, jego stosunek do arystokracji rosyjskiej i polskiej w tym okresie, do Joanny Zaleskiej i Karoliny Jaenisch, niezdecydowana postawa Mickiewicza wobec Powstania Listopadowego, jego t. zw. "mistycyzm polityczny z okresu Legionu Włoskiego, Prelekcji Paryskich i Trybuny Ludów, niekrytyczny stosunek do Towia6skiego, wszystko to podkreślone jest twardo i surowo. Oczywiście, nie ze wszystkmi tymi sądami można się zgodzić. Ale nawet zryw niecierpliwego protestu staje się tu zbyteczny, bo nad wszystkiem góruje u Autora uczucie wielkiego szacunku, podziwu, a nierzadko szczerego zachwytu.

Techniczny problem przekładów z Mickiewicza prof. Noyes rozwiązał w sposób, który może nie olśniewa oryginalnością, ale za to pragmatycznością swoją daje bodaj najwyższe gwarancje scisłości. Zpośród garstki oddanych i zapalonych współpracowników, tylko Mrs. Dorothea Prall i Prof. Watson Kirkconnell, opierali się bezpośrednio na oryginałach polskich. Dla reszty, Prof. Noyes dawał dosłowne, wiersz po wierszu, tłumaczenie prozą, z którego po licznych próbach powstawały przekłady wierszowane. Wynikła z tego nieunikniona różnorodność poziomów stylistycznych i estetycznych, zwłaszcza w sferze poezji lirycznej, ale całość uderza dużym talentem, często nawet niepospolitem pięknem języka i obrazowania.

Wybieram dla przykładu rzecz wyjątkowo trudną dla tłumacza, fragment z Wielkiej Improwizacji:

"Ty Boże, ty naturo, dajcie posłuchanie, — Godna to was muzyka i godne śpiewanie. Ja mistrz! Ja mistrz wyciągam dłonie! Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie na gwiazdach, jak na szklannych harmoniki kręgach. To nagłym, to wolnym ruchem, Kręcę gwiazdy moim duchem. Milion tonów płynie, w tonów milionie, Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie. Zgadzam je, dzielę i łączę, I w tęczę i w akordy i w dźwiękach i w błyskawic wstęgach.."

Then heed me, God and nature,
for my song
Is worthy you, worthy to echo long.
A master I!
I stretch my hands on high
And touch the stars. Ah, see!
Now forth there peals
As from the illimitable
crystal wheels
Of some harmonica, a melady.
And as the circles roll
I tune the turning planets to
my soul.
A million notes stream on!
I catch each one,
I braid them into rainbow-
colored chors,
And aut they flow and flash
like lightning swords...

Niepospolita, trwała wartość dzieła prof. Noyesa stoi jednak czemś więcej, niż nieskazitelną interpretacją i poetycznem pięknem przekładu. Stoi poznaniem i miłością, a więc tem, co Pascal uważał za najwyższe wytwory ducha ludzkiego. A za taką znajomość Polski i za taką dla niej miłość, jakich wyrazem jest monumentalne dzieło prof. Noyesa, nie dziękuje się słowami:: dziękuje się sercem — sercem Polaka i człowieka.

S U L I M A

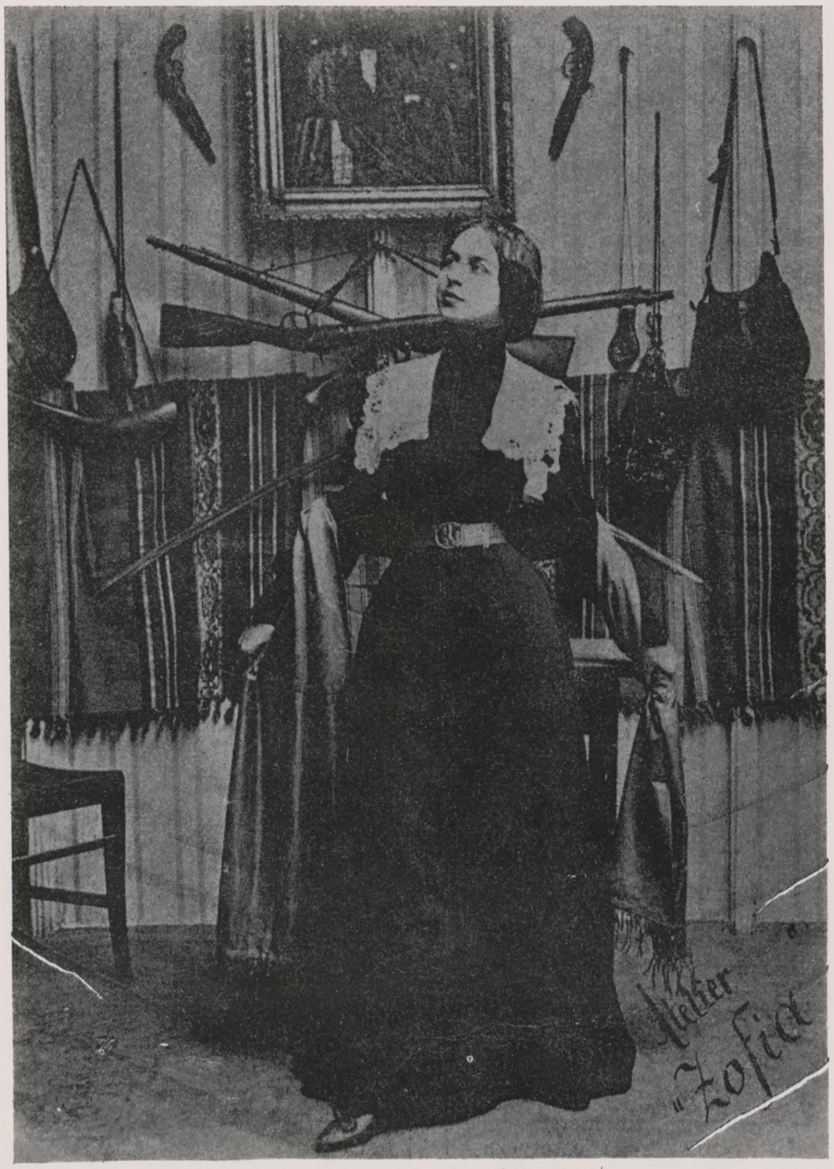
Wśród aktorów poległych w czasie powstania w Warszawie zginęła też Sulima, pani Helena Sulima, której niebywała uroda, inteligencja i miłość do sceny były przez długie lata — jedynymi z największych uroków polskiego teatru.

Helena Sulima nie była wielką aktorką, nie mogła grać wielu ról, w których potrzeba było uczucia, bezpośredniości, wielkich zasobów głosowych; talent jej zamykał się w ograniczonym świecie komedji salonowej i w sztukach stylowych. Ale w tym świecie Sulima była naprawdę u siebie i stworzyła parę kreacji, które zostały nazawsze w rocznikach sceny polskiej i nigdy nie były przewyższone. To co było w tych rolach potrzebne — to właśnie miała Sulima. Była olśniewająco piękna, miała postawę, gesty i sposób mówienia wielkiej damy, poczucie dowcipu, które sprawiało, że żadne słowo Shawa czy de Flers'a nie przepadało, gdy ona je mówiła. Jej aparycja, przypominająca portrety Gainsborough i Romneya, dawała każdej odtwarzanej przez nią roli urok najwyższej elegancji, jej suknie, przy których wyborze radziła się najczęściej malarzy były zawsze nieposzlakowanie stylowe i pełne ciekawych kolorystycznych harmonji. Dziecko Warszawy wychowane w najlepszej teatralnej sferze, ze złotych czasów Rozmaitości, przyjechała Sulima jako młoda dziewczyna do Krakowa, gdy był on stolicą zarazem wielkiej poezji wielkiego malarstwa i najbardziej paryskiego żartu, gdy jednocześnie prorokował w nim Wyspiański, tworzyli Wyczółkowski, Fałat, Mehoffer, Stanisławski i bujał lekko "Zielony Balonik" Boya. Niezwykle inteligentna pełna egzaltowanej miłości do sztuki, Sulima chłonęła tę poezję, zarówno patetyczną jak i żartobliwą, i wpływ Krakowa, wpływ niezwykłych ludzi, których tam poznała na całe życie pozostał jej drogowskazem.

Tej atmosferze Krakowa, magnetyzmowi poezji zawdzięczała swoją rolę możnaby powiedzieć nieśmiertelną. To co w innych jej kreacjach wydawało się sztucznością i przesadą, sprawiło, że scena polska nigdy od premjery "Wesela" nie widziała i nie słyszała takiej Racheli jak Sulima. Jej wężowa postać w opiętej czarnej sukni w czerwonym szalu, jej głos pełen egzaltowanego patosu tak zrosły się w naszym wspomnieniu z tą rolą, że Sulima na zawsze dla nas pozostała Rachelą, a Rachela będzie nazawsze naszym wspomnieniem o Sulimie. Była też doskonałą Hrabiną Idalją, Marją Ludwiką w "Orlęciu", Laurą w "Cyganerji" Nowaczyńskiego i w ostatnich latach niezwykłą królową w "Wielkim Kramie" Shawa.

Przyjaciółka artystów i poetów, z których wielu kochało się w niej nazabój — zarówno w Krakowie jak i później w Warszawie prowadziła pani Helena prawdziwy, choć skromny, "salon" godny najświetniejszych paryskich, salon, gdzie nie bywały prawie kobiety i gdzie ona królowała wśród sław polityki, poezji i teatru.

Jej małe trzy pokoiki na Tamce ozdobione portretami z krakowskich czasów, pełne książek dedykowanych jej przez autorów widziały w okresie po poprzedniej wojnie wszystkich niemal świetnych ludzi ze wszystkich literackich i politycznych obozów. Sulima rozumiała się na polityce, jak wielkie francuskie aktorki i nieraz w tym czasie spotykali się u niej ludzie, którzy nie podawali sobie ręki w kawiarni czy w sejmowych kuluarach. Daszyński, Sławek, Sosnkowski, Śmigły, Wieniawa, Lieberman, Strug, Hipolit Sliwiński bywali wtedy częstymi, niektórzy codziennymi jej gośćmi, a wraz z niemi, abo jeśli to się już zupełnie politycznie nie kleiło,



Sulima jako Rachela
w pierwszem przedstawieniu "Wesela"

osobno, Nowaczyński, Makuszyński, Boy, Perzyński, Frycz i ówcześni najmłodsi, Lechoń i Wierzyński. Sulima miała cudowną, pełną dowcipu inteligencję i złote serce, które sprawiało, że cierpiała więcej niż inni od złego losu,od najnieszczęśliwiej wybieranych miłości, cierpiała tem więcej, że z dyskrecją i w ukryciu. Kochała głęboko, poetycznie i z humorem Polskę, poezję, teatr, była naprawdę piękna, pięknie czuła i pięknie żyła. I ona, która z takim zachwytem i egzaltacją szerzyła kult Józefa Piłsudskiego, gdy był on jeszcze tylko brygadjerem, osądziłaby napewno sama, że pięknie także odeszła ze świata.

Ś. P.
BRONISŁAW WIERZYŃSKI
inżynier, b. konsul Rzeczypospolitej Polskiej
I JEGO SYN
JAN WIERZYŃSKI
ZGINĘLI W SIERPNIU 1944 ROKU
W POWSTANIU WARSZAWSKIEM
o czem zawiadamia przyjaciół i znajomych
brat i bratowa

OPINJE I ZDARZENIA

ODEZWA KONGRESU

Odezwa Kongresu Polonji w sprawie uznania "rządu warszawskiego" Bieruta i Mikołajczyka — jest taka jaką być powinna: mocna, jasna, wyraźna, stanowcza. Polonja amerykańska poszła konsekwentnie po obranej rok temu drodze, nie ustępując na krok od swych mądrych i szlachetnych celów. Zrobiła ona dla sprawy Polski a przez to dla sprawy wolności amerykańskiej — co mogła i zrobiła to jak można było najlepiej. Odezwa Kongresu jest aktem politycznym wielkiej wagi, z którym Departament Stanu będzie musiał się liczyć. Widniejące pod nią podpisy głównych działaczy Kongresu z prezesem Karolem Rozmarkem na czele będą wagi napewno historycznej i dlatego podajemy je na wieczną chwalebną pamiątkę.

Karol Rozmarek, prezes, Honorata Wołowska, Teofil Starzyński, Jan Mikuta, Franciszek Januszewski — wiceprezesi, Jan Olejniczak — skarbnik, Stanisław Gutowski — sekretarz, Stanisław Czaster, S. Warakomski, W. S. Pytko, Jan Smoleński, Jaroszewski, J. Pawłowski, Prałat Tomasz Bona, S. Filipiak, Jan Stanek, Feliks Popławski, Łucjan Kajko, Józef Piech, F. X. Rydzewski — dyrektorzy, Ks. Marcin Lipiński, sędzia B. Gunther, Janina Pałczyńska, Ignacy Nurkiewicz, Walenty Porański, Walter Alski — przewodniczący Komisji.

JERZY SZANIAWSKI ZAMĘCZONY

Niekończąca się lista pisarzy i artystów polskich, zamordowanych przez Niemców coraz nowe przynosi nazwiska. Dochodzi nas wieść o śmierci w piekle obozu koncentracyjnego Jerzego Szaniawskiego, jednego z najlepszych i najbardziej łubianych polskich pisarzy scenicznych. Szaniawski był twórcą poetycznych komedji — napozór dziejących się w świecie rzeczywistym ale w gruncie rzeczy należących do świata mądrego żartu i bajki. Komedje te przypominające nieco Rittnera, kokietujące przystępną głębią, doskonałe scenicznie i dające świetne role dla aktorów — zdobyły sobie szybko publiczność, która wiernie odtąd dotrzymywała Szaniawskiemu swego zachwytu.

"Lekkoduch", "Papierowy Kochanek", "Ptak", "Adwokat i Róże", "Most", przez długie wieczory zapełniały sale teatrów polskich: grane były też z powodzeniem zagranicą. Osterwa zaliczał do swych największych tryumfów role w tych sztukach, które doskonale przystawały do rodzaju jego talentu. Niezrównany był też Mieczysław Frenkiel jako burmistrz w "Ptaku".

Szaniawski jako człowiek był miłym dziwakiem, trzymającym się zdala od sporów literackich i od wszelkich kawiarń, pism, artystycznych sporów. Życzliwie mrukliwy — zajmował się tylko swemi sztukami i podwarszawskim gospodarstwem. Nie mieszał się nigdy do życia i jego śmierć w obozie koncentracyjnym jest straszliwym dowodem, że Niemcy mordowali Polaków tylko za to, że byli Polakami. Był Szaniawski od założenia jej członkiem Akademji Literatury, po Berencie, Lorentowiczu, Boyu, Kadenie, Irzykowskim — szósty to, którego zabrała ta wojna.

SEWERYN X. CZETWERTYŃSKI

Zmarł w Edynburgu Seweryn X. Czetwertyński, znany polityk i działacz gospodarczy — który przeszedłszy piekło Buchenwaldu zdołał odetchnąć wolnem powietrzem Szkocji i zmarł na skutek przeszłych męczarń. Zmarły zaczynał karjerę polityczną jako poseł ze stronnictwa demokratyczno-narodowego do rosyjskiej jeszcze Dumy, był przez dłuższy czas prezesem naczelnej organizacji ziemiańskiej Centralnego Towarzystwo Rolniczego, poczem przez dłuższe lata już w niepodległej Polsce posłem na Sejm i jej wice-marszałkiem. Człowiek gorących pasji i wielkich talentów był Seweryn Czetwertyński postacią w życiu politycznem i towarzyskiem Polski jedną z najwydatniejszych i najbardziej popularnych.

Ś. P. BRONISŁAW I JAN WIERZYŃSCY

Kazimierz Wierzyński dostał wiadomość, że w czasie powstania w Warszawie zginął jego brat starszy Bronisław, inżynier i były Konsul Rzeczypospolitej w Genewie, i wraz z nim jego syn Jan. Przed paru miesiącami pisaliśmy o śmierci drugiego

brata Wierzyńskiego — znanego dziennikarza Hieronima, który jak się okazuje umarł w Majdanku.

Redakcja "Tygodnika Polskiego" i koledzy, pisarze z Polski, przesyłają Kazimierzowi Wierzyńskiemu najgorętsze słowa współczucia.

LISTY UWIERZYTELNIAJĄCE

Ponieważ Bierut jako przewodniczący Rady Prezydenckiej jest według moskiewskiego układu głową państwa polskiego — Ambasadorzy Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych jemu będą składali listy uwierzytelniające. Winszujemy honoru. Jak również wizyty u ministra spraw zagranicznych, nowego kolegi pana Mikołajczyka, Wincentego Rzymowskiego, który jak wiadomo został wyrzucony z Akademji Literatury za plagjat z Bertranda Russela, gdyż parę stronic "oderznął" z niego poprostu bez podania źródła. Jeżeli nowy ambasador Wielkiej Brytanji będzie to człowiek "lettre" zrobiłby zręcznie, omijając w rozmowie z ministrem dzieła swego znakomitego rodaka.

CZUCHNOWSKI O ROSJI

Marjan Czuchnowski, młody poeta który w Polsce odsiadywał więzienie, skazany za działalność antypaństwową, napisał teraz i wydał w Londynie książkę "Z Moskwy do Moskwy", której tematem są dzieje i kulisy t. zw. "Związku Patrjotów" opisane z niezwykłą znajomością rzeczy i bezstronnością. Zarówno ze względu na osobę autora, który jeśli miał jakieś uprzedzenia to napewno nie antybolszewickie jak na jego prawdomówność i na talent niezwykły z jakiem broszurka jes napisana, książka Czuchnowskiego jest dokumentem bezcennym, który powinien być zaraz przetłumaczony na angielski. W następnym numerze podamy fragmenty z tej niezwykłej publikacji.

LISTY DO REDAKCJI

Kochany Panie Redaktorze!

Zawdzięczając Pańskiemu "Tygodnikowi Polskiemu" bardzo cenionemu u nas, spotkałem w numerze 1 (106) z dn. 7.1.45 drogą mi twarz brata na zdjęciu w grupie "Po kapitulacji Warszawy Jeńcy Polacy". Jest w grupie siedzącej, z kocem przez ramię. Od roku 1941 żadnej wiadomości od rodziny nie mam. To jest pierwszy ślad. Jeżeli brat został wyzwolony od strony zachodniej to dobrze, jeżeli zaś od wschodniej to czeka go ta sama Workuta nad rz. Ussą, gdzie i ja byłem. Ale jeżeli żyje wróci. Wróci z tymi, którzy dziś walczą na Pacyfiku. I wróci nie przez Krasnowodsk, Morze Kaspijskie, lecz wróci przez Moskwę "zalążek raka", który żadną siłą nie może weżreć się w duszę polską, ale prawdziwie polską. Życzę Panu dalszej tak owocnej pracy.

Z poważaniem

Wachmistrz Rusznica Władysław.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem Panu bardzo wdzięczny za spełnienie mej prośby i wciągnięcie do liczby prenumeratorów.

"Tygodnik" sprawie mi naprawdę wielką radość, jego artykuły są tak bliskie sercu każdego z nas i utwierdzają mnie w przekonaniu, że tam za sinymi masami wód oceanu Polacy-Amerykanie myślą tak jak i my tutaj. Mam głęboką wiarę, że dzięki pomocy Wszechmocnego Boga zwycięży sprawiedliwość i znów będę mógł ujrzeć stare mury Wilna, a koledzy wzgórza Lwowa.

Jeszcze jedna prośba Szanowny Panie Redaktorze — chciałbym nawiązać z kimkolwiek w Ameryce korespondencję, więc proszę o adres.

Łączę wyrazy szacunku.

Pchr. Aleksander Bobrowski